№ 13. 30. Marca 1850.

TYGODNIK LWOWSKI.

PISMO LITERACKIE.

Wychodzi każdéj Soboty 1 lub 1½ arkusza. Cena kwartalna we Lwowie 1 Złr. — Na prowincyi z przesyłką pocztową 1 Złr. 15 kr. m. k. — Pieniądze przesyłają się **bezpłatnie** pocztą wprost do księgarni K. Wilda we Lwowie, wyraziwszy na kopercie: **»Przedpłata na Tygodnik lwowski.«**

Z bieżącym numerem kończy się pierwszy kwartał prenumeraty. Prosimy szanownych prenumerantów kwartalnych o wczesne nadesłanie dalszej przedpłaty. Zapraszamy też w powszechności całą przyjaźną ojczystej literaturze publiczność do wsparcia nas swoim udziałem, a zapraszamy tém śmielej, ile że powiodło się nam wszechstronną pomoc literacką uzyskać pismu naszemu. I tak nabyliśmy od I. I. Kraszewskiego powieść pod napisem: ***Tomko Prawdzic***, od p. K. Szajnochy zbiór artykułów historycznych i literackich, jak n. p. ***Opanowanie Rusi czerwonej przez Kazimierza w.***, ***O bohaterstwie Polaków za granicą w 16tym wieku***, i t. d. — które w następnych numerach ogłaszać będziem. Prócz tego mamy zapewnione sobie współpracownictwo p. p. Kornela Ujejskiego, Z. Kaczkowskiego i innych. Tak wzmocnionemi siłami podołamy niewątpliwiej niż dotąd obowiązkom względem publiczności zadość uczynić i mniemamy przeto mieć prawo do liczenia na również wzmagający się udział publiczności. — Cena kwartalna 1 Złr. z przesyłką pocztową 1 Złr. 15. kr. M. K.

O Nierozumie.

(Dokończenie.)

Panowie lubią gawędy?.... Otóż panom opowiém gawędę, nie z czasów wojennych ani rewolucyjnych, ale z czasów najspokojniejszych, bo przed — marcowych:

W tym naszym kraju, bogatym w zboże, w ziemniaki, w gorzałkę a ztąd w strażników, nieubogim w lasy a więc i w kloce leżące bez użytku, niezdolne nawet na popiół bo na wskróś przegniłe, w kraju bogatym w rzéki spławne kędy się nasze łzy i wetschnienia spławiają do dwu niegdyś ojczystych mórz, bogatym w gramatykarzy, z których każdy jest najzaciętszym radykałem, bo radykalnie język reformuje, bogatym w wielkich polityków i wielkich literatów, którzy nigdy nic nie pisali, bogatym w talenta, które się nic nie uczą, bo już wszystko umieją, był także talent, któremu udało się, narodowi rozmarzonemu o świéżych zwycięstwach, trafić w stronę serca jeszcze drżącą. I cieszył się naród tém echem swojego głosu, które o harfę opartą na tatrzańskiej skale odbijał i w pełnej pieśni do serca i ucha powracał. Przebrzmiały pierwsze dźwięki pieśni, a ze zmianą czasu i pojmowania nadziei na przyszłość zostało w sercu wspomnienie wielkich czynów i pięknej muzyki, a na papierze został wiérsz ośmiozgłoskowy. Po tym wiérszu lazł talent do ziemskiego nieba arcysztucznym sposobem, mając bowiem drabinkę, tak krótką, bo z ośmiu tylko szczebelków złożoną, ucinał ją szablą demeszką z dołu a sztukował u góry. W końcu niestało tej drabinki, a sztukmistrz z bolem zawiedzionego serca ujrzał, że mu drogi zabrakło. Odtąd poczęły się kuglarstwa.

Najpiérw więc wielka wieść o wielkiej nauce,

rozpostartej na całej połowie Europy wschodniej a nauczającej o tém co jest na ziemi i w ziemi. I wyszedł on wonczas na szczyt karpat z harfą swoją tak piękną i tak ubóstwianą, chciał w niej wynaleść ton nowy, ton ściślej nauki, ale go w harfie nie było, też zerwały się stróny, przykry oddźwięk wyrwał się z jej wnętrza, i był głosem nie pieśni ale fałszywej mądrości, a resztki tego pięknego naczynia, które winno było zostać święte i niepokalane w narodowym skarbcu na wiekopomną przyszłym pokoleniom pamiątkę, zsypały się na jeden pagórek w kształcie drzazg zabrudzonych. Tak zniknęło natchnienie, a zimne opamiętanie nie przyszło. Potrzeba więc było je udać — zawiedzioną w oczekiwaniach rzeszę trzeba było choć pozorami ułudzić, grzéch drugim zmazać grzéchem, więc znowu ucieczka do tej drabinki, którą potrzeba było z jednego końca ucinać aby w drugim przyłatać, i znowu kuglarstwa. Najlepszém polem na takie sztuki, jest owa odwieczna krynica naszych niedostatków; owóż rosły w fantastycznej głowie fantastyczne pomysły, których wszyscy z rozdziwionemi usty i połową wiary słuchali, nieoglądając się na pożytek.

A że w każdym pomyśle trochę było w dalekiej perspektywie pożytku, trochę historycznej wielkośći, trochę wspomnień z przeszłości, wiele nadziei na przyszłość, która ubrawszy się w kontusz i buty czerwone, mile kłaniała im czapką rogatą, tyle wreszcie legalnośći ile potrzeba aby się nie skompromitować, i tyle łacińskiego katolicyzmu aby nie zgorszyć Jezuitów, więc komedja grała się w najlepsze.

Ależ panowie chcą gawędy, nie komedji — więc gawęda; ale nie — i komedja i gawęda, to będzie lepiej.

Owóż było to roku pańskiego ... — stugębna wieść roznosiła po mieśćie plan założenia naturalnego gabinetu. Wszystko po temu; nawet podówczasowy szef policji krajowej, także biegły naturalista, zachęcał do zrealizowania tego projektu, co było nader ważnym; małej rzeczy tylko brakowało — funduszów. Ależ to mała rzecz, w ciągnie się w to bogatych — mówił utalentowany planista, przedstawi się im rzecz, (czyli, odegra się przed niémi komedja i powié się gawęda) i wszystko będzie. Więc niech się komedja gra!

My nie będziemy słuchać całej komedji, jeden akt tylko, — nie, i to nadto, — jedną scenę. Sufler dzwoni, zasłona się podnosi, scena wystawia pokój na środku stół, za stołem wnioskodawca jako naturalista (*Der Dichter als Naturforscher*) obok niego ktoś drugi, także przebrany za naturalistę, dalej literaci i nieliteraci, bogacze, do których wymierzona rzecz, słowem, posiedzenie w celu założenia naturalnego gabinetu. W tej chwili, ten ktoś przebrany za drugiego naturalistę, ma głos i tak go prowadzi:

— „Słyszę!..... wołu zjadł!.....“

„Pauza, powszechne żdziwienie, podniesiona uwaga.

Ten sam głos mówi dalej:

— „Na drugi dzień, znowu wołu zjadł!....

Ciekawość się zwiększa, głos ciągnie dalej:

— “ Aż trzeciego dnia, dowiaduje się że to *połoz! Połoz*, rzeczywiśćie jest pod karpatami; otóż utrzymują że niemasz u nas olbrzymich wężów, czyli tak nazwanych Boa, prawda że niémasz, ale są — *połozy!* Oto więc tylko idzie — rzecze mowca obracając się do wnioskodawcy a pierwszego naturalisty — jakby go tu przywieźć do gabinetu?

— „No! to mała rzecz! — odpowie zapytany to się tak robi: oblewa się beczkę smołą, nalewa się spiritusem i włożywszy w nią *połoza*, przywozi się tu do gabinetu; wszakże tak z Ameryki przewożą.

Rzecz skończona, *połoz* już jest w gabinecie, chociaż nikt nie pomyślał jakby go złapać, gdyby go wynaleziono.

Ci, których zaproszono na to walne posiedzenie, ażeby funduszami ten projekt wspomogli, nierozumiejąc rzeczy oglądali się po sobie z niedowierzaniem i nieśmiałośćią, — bo tyle nierozumu i bezczelnośći trudno im było w swoich dobrych sercach dopuścić. Ależ nie koniec. Ten ktoś przebrany za drugiego naturalistę, chcąc obyczajem starożytnych mowców, użyć szczęśliwej chwili, ażeby wahających się niespodzianie argumentami zarzucić i zwalczyć, z tąż samą powagą ciągnie dalej.

— „Albo ktoś by myślał, że u nas niemasz Grzechotników, gdzie tam! na Ukrainie i nad czarnym morzem pełno ich jest! ale nazywają się Dzwońce! „ Owoż gawęda skończona, ale komedja, czy się gra jeszcze? Gabinet się nie założył, a rzeczy ciekawe, rzucane dziś młodym głosem z katedry w starej szkole, ku chwale kościoła i kraju aby żył długo *w pokoju* na ziemi, niewiemy, czy mają także co dramatycznego w sobie? Wszakże czas nielitościwy wszystko to wyjaśni, bo jest nieomylnym i dla tego nieomylnym, bo niewychodzi w formie gazety in folio.

Owoż do wielkich plag krajowych, które nie od dzisiaj są nam chlebem codziennym, należy policzyć i tę, iż ludzie, zasłużywszy się raz dobrze krajowi, usiadłszy na bluszczach sławy częstokroć powiędłych, sądzą iż im wolno bawić się wiarą publiczną; — im tedy powiémy, iż jednostka, chociażby niewiedzieć jak ogromna, ma się zawsze do ogółu, tylko tak jak jednostka, iż nigdy nie poświęca się ogółu jednostce, tylko jednostkę ogółowi, kiedy tego dla prawdy potrzeba, co się natychmiast dowodzi tém, że na udawaniach i fałszu choćby jak mądrej jednostki, ogół poznać się musi, bo rozumem jednostki jest rozum człowieczy, a rozumem ogółu jest opinja publiczna.

Ponieważ zaś obowiązkiem jest ludzi, nad rzeczami i wypadkami bez uprzedzenia zastanawiających się, szkodliwe objawy jednostek wykazywać i w każdym względzie prawdę odsłaniać, toż jak się rzekło przedsięwzieliśmy przedstawiać, wszystkie i jakiekolwiek objawy nierozumu, o czém rzecz.

Z. K.

Pierwsze odrodzenie się Polski.

Szkic historyczny K. Szajnochy. — Lwów 1849.

(Dokończenie.)

W szóstej księdze opisuje nam autor ciężkie zapasy i walki Łokietka, które go wreszcie pod koniec życia pełnego prac, wysileń, klęsk i zawodów do upragnionego celu, do odbudowania Polski przywiodły. Po śmierci obu Wacławów dopiero powiodło się Łokietkowi — po dwukrotném tułactwie, acz nie zaraz jeszcze i nie bez srogich walk posiąść mało-polskę, a później jeszcze zjednoczyć ją z wielko-polską i Pomorzem. Ukróciwszy wrogów zewnętrznych przytarł i przytłumił Łokietek i w domu nieprzyjazne sobie żywioły obczyzny i możnowładnych rokoszanów. Lecz użycie obcej pomocy zbrojnej przeciw stronnictwu wewnętrznemu w ojczyźnie i za jego czasów nie uszło bez gorzkich i krwawych następstw: bo wmiast pogromionego za pomocą krzyżaków rokoszującego stronnictwa Święców pomorskich — stanął w tychże sprzymierzeńcach Łokietkowi i Polsce wróg stokroć potężniejszy, sroższy i niebezpieczniejszy. Wojny więc i pogromienia drapieżnych krzyżaków, zajmują ostatnie lata naszego bohatyra, jak i ostatnie karty szkicu historycznego.

W tej księdze autor wywiódłszy nawę Polski z cieśni i wirów zmylonej drogi narodu na otwarte i szerokie morze dziejowe i sam swobodniej i pełniejszą piersią odetchnął. Bohatyra swego „łokciowe książątko“ którego przez cały ciąg szkicu nie stracił nigdy z uwagi, wiodąc nie już jak dawniej zmienną koleją zawziętych losów, lecz bitym gościńcem stanowczych i nieodzownych powodzeń i zwycięstw sposobem opisywania jak już i treścią samą przypomina „opowiadanie historyczne Bolesława“

„Łokietek zaś, dokonawszy szczęśliwie walki z książętami szląskiemi i biskupami, z rycérskiém możnowładztwem Święców i miejskiém możnowładztwem wójcińskiém, uwieńczył dzieło nowego uporządkowania Polski, uroczystym obrzędem koronacyi, celującej z dwóch względów nad poprzednią koronacją Przemysławową; raz, że była już niezawisłą od pozwolenia papieskiego, powtóre, iż odprawiając się nie w Gnieźnie, lecz w Krakowie nowemu porządkowi rzeczy nowe centrum organizacji nadała.“ — „Po dniach nieszczęść i walki płynęły dnie radości i spokoju. „*A od dni onych* — prawi kronika — *cały naród przylgnął czcią, pokorą, miłością do Łokietka i ci sami którzy niegdyś jego losom tułaczym naigrawali, teraz z uniżnością i trwogą majestat jego wielbili.*“

Całe dzieło swoje zamknął Szajnocha epilogiem natchnionym, głębokim i napisanym w sposób wielce zajmujący. Epilog ten sam przez się stanowi piękną całość, jakby poemat. W trzech oddziałach: „Król Kmiotków,“ „Ród Piastów“ i „Nowa Polska,“ kréśli nam naprzód *równoległą* i powinowatość duchową ostatniego Piasta z pierwszym, w drugim przebiega zadanie i działanie całego rodu kołodzieja z Kruszwicy, w trzecim zakreśla i wskazuje kierunek, w którym „Nowa Polska“ po odbyciu swej jakby małoletności politycznej pod opieką rodziny Piastów, teraz pod nowemi dynastjami i bezpośrednim wpływem dojrzałej części narodu — postępować miała. A całość tego obrazu przedstawia nam w jasności dziejowego wniebowzięcia, w tem świetle wyższego i bezprzesądnego poglądu, w którym cnoty i wielkie czyny tem żywszego blasku nabywają, a plamy i występki okazują się tylko jako ciemne tła i cienie ogólnego obrazu.

Niezaprzeczoną zasługą Sz: jest to, że w wyszłych dotąd dziełach swoich historycznej treści, podaje nam obok rezultatów badań i nauki ścisłej — ogólny i filozoficzny pogląd na historję, spojne i żywe — jakby żyjące przedstawienie nie *padających* lecz wypływających jedno z drugiego wydarzeń, i że na polu historji nie poprzestał li tylko na naukowości, lecz też nie zapomniał być *umiejętnym* i *umniczym*. Jak z zadowoleniem czytaliśmy co dotąd wyszło, tak z dobrą otuchą oczekujemy obiecanego przy końcu niniejszej książki dalszego szkicu, i zwracamy uwagę czytających ziomków na dzieło, w którém obok zajęcia umysłu ogrzania serca przy wzorach przeszłości znajdzie się tuż pociecha i nauka przydatna w obecności.

Uwagi nasze zakończymy słowami samegoż autora, któremi on dzieło swe światu poleca. „Kiedy nas chwila zawiedzie, kiedy nas chwila publiczną klęską zakrwawi, kiedy nam chwila pozornym bezładem i bezkształtem swoich obecnych zjawisk wiarę w rozumny kierunek świata zachwieje, spojrzyjmy w przeszłość na pewien skończony w sobie okres dziejowy, gdzie w wieloletnim zlewie tych pozornie potwornych chwil rażący widok ich obecności ginie w spólnym widoku harmonji całego zdarzeń rozwoju. Takie spojrzenie w przeszłość winne wypogodzić nasz mgławy pogląd na przyszłość, utwierdzić zachwianą wiarę, pocieszyć boleść . . . . .“

„Bo jeźli z jednej strony umiejętnościom pora zestąpić z katedr szkolnych, i zbliżyć się do ogółu, tedy z drugiej strony i ogółowi potrzeba przysposobić myśl do przyjęcia umiejętności; jeżeli historja ma zniżyć się do ludu, niechże i lud czytający podniesie się do historji pisanej. Aż z czasem oswojony należycie z pisaną, sprosta także *działanej*.“

Poezja

Lirnik szalony.

Wiécie co mi? — jam szalony —
Ja od matki Ukrainy
Wziąłem lirę, śpiew pieszczony,
Śpiew srebrzysty — jak Boh siny.

I wspominki porodzinne
O hetmanach, o przeszłości;
Wszystkie dumy ukrainne
O rusałkach — o miłości.

Lira była wielostrónna,
A pieśń była hej stepowa!
Tak tęskliwa a piorunna —
Nasza duma nad-bohowa.

Ale dziwnoż! — wzrok dziewczęcia
Rusa kosa, czarne oczy,
Jakieś czary czy zaklęcia
Zczarowały w szał uroczy.

„Graj lirniku!“ — Mam ja pieśni
Pobojowe a rozgłośne;
Zagram — bój! tak — śni się — nie śni. . . .
Lira dumki gra miłośne.

„Cóż lirniku? — śpiewaj boje,
Patrz, dokoła bój się toczy!“
Chwila, chwilka — niech dostroję . . . . .
Drum — drum . . . . cicho! — Czarne oczy! . .

A toż czary?! zrywam strony,
Na uroki gusła tworzę,
Klnę na słońca, na pioruny . . . .
Drum — drum . . . cicho! — teraz może . . . .

„Cóż lirniku? — pieśń, a nową!
Wciąż o swojej czarnobréwce.
Zaczniesz niby pieśń bojową,
Ona zawsze choć w przegrywce.“

A toż czary czy zaklęcia!
Chcę piorunów — śpiew pieszczony —
No! — więc śpiewam dla dziewczęcia;
Dla was . . . dla was . . . jam szalony.—

Pobitna pod Rzeszowem.

(Ciąg dalszy.)

CZEŚĆ II.

Na przedmieściu Rzeszowa stał jeźdźiec młody otoczony garstką młodzieży miejskiej, i rozmawiali coś po miesiączku. — Jeźdźiec siedział na gniado srokatym koniu niewielkim, ale żwawym.

Rząd wcale nie był wymyślny. — Koc we czworo złożony na nim drewniana terlica z podogoniem, na tej skórzana poduszka popręgiem dobrze przykulbaczona; do tego prosta uzda rzemienna stanowiły całe ubranie konia. — Sam jeźdźiec o dwudziestu kilku latach, miał na sobie kapotę z taśmami, przepasaną trzosem, czworograniastą czapkę z barankiem, która na lewe ucho posuniona, dobrze odbijała od rumianej twarzy, wąsów i włosów wedle zwyczaju mieszczan równo obciętych.

W ręku trzymał kańczuk potężny, z bernadyńskiemi guzami we dwoje złożony; przez plecy drewnianą manierkę z cynowym do wkręcania czopem, znać niecałkiem pełną, bo chlupało w niej, a przed sobą sakwy nie próżne i tułub czarnym baranem podbity. Nieuczono siedział, ale się dobrze trzymał; a koń czuł na sobie jeźdźca dobrego, bo nie chciał dostać tylko się zwracał i nogą grzebał a głową potrząsał. — Był to Bartłomiej Murski na wyjeździe do Jaćmierza w sprawie konfederacji z listami księdza gwardjana, pana Żyłowskiego i niektórych okolicznej szlachty.

Czekał na Marcisia nieodstępnego towarzysza swego, który się jeszcze w mieście z matką, bratem i bratową żegnał, i świeżo pieczone kiełbasy i schab w sakwy na konia ładował.

Bartłomiej tymczasem rozmawiał z znajomemi o nadziejach dla Polski i miasta ich, o sposobach i miejscach dostania broni, i napominał, aby się mieli na pogotowiu, bo Puławski ma lada dzień nadciągnąć, żeby się licznie do niego przyłączyli, — żeby świat przecie wiedział co to Rzeszów.

Byliby jeszcze dłużej spokojnie rozmawiali gdyby Grzesio znany dworzanin zamkowy idąc środkiem drogi nie był zwrócił ich uwagi.

On pewno idzie do waszej Jagusi Bartłomieju! — zgadało się dwóch stojących, on tam zawsze łazi ile razy tylko czuje, że was nie ma w domu.

Oj dam ja mu Jagusię—odrzekł Bartłomiej, i machnął kańczukiem, dam ja mu ją, że pewno zapomni drogi z zamku do młyna.

Moglibyście Bartłomieju temu najduchowi przed odjazdem plecy wygarbować, bo już ciężka z nim porada.

A i Miszczańskiego trzeba by mu przypomnieć i kobylicę, a terazby można, bo jako konfederoka nie śmiałby wos pon Żyłoski tknąć.

Oj prawda, zdałobymu się za Miszczańskiego co kobylicę tak ciężko odchorował; oh! żeby on mnie kiedy w ręce wpadł, ten bęś to bym wnętrzności z niego wytrząsł.

Tak gadali kolejno na uboczy patrząc na Grzesia, który dumno ledwie spojrzawszy po mieszczukach szedł wyprostowany jak gdyby kij połknął. Ale mu się coś nogi plątały. Po mocném wspieraniu się na sękaty kostur z siekiérką po chodzie i minie widać było, że nie obchodził miodowej arendy w rynku.

Bartłomiej stał zadumany chwilę, wreszcie rzekł westchnąwszy: ja go tam dopędzę; i posłał za Marcinem czemu się tak długo bawi.

Wrócił chłopiec z odpowiedzią, że zaraz przyjedzie ale Bartłomiej zniecierpliwiony wyrzekł: niech jedzie za mną do młyna; bądźcie zdrowi! a niezróbcie mi wstydu! zaciął krasego i poszedł dobrym polskim kłusem.

Tymczasem Grzesio przeszedł przez kryty most na Wisłoku, przez błonie miejskie i zbliżał się ku młynowi.

Jagusia młynarzanka w wiśniowym gorseciku w bławat siedziała na ławeczce pod oknem, i spoglądała na miasto, za rzéką gdzie w zamku okna, na kościołach zaś banie i gałki błyszczały. W środku prawie dąb odwieczny poroztaczał ciemne konary aż pod jasne niebo, i stał zadumany gdyby olbrzym między kretowinami. Młyn szumiał i pytlował. W pośród wiosennego żegotania żab przebijał się czasem ostry lot cyranek lub wycie psów we wsi Powitnie, której łany z młynem i miastem o miedzę tylko leżały. Wieczor był ciepły i jasny, a Jagusia siedziała z opartą główką i marząc o niebieskich migdałkach niezważała, że psy zaszczekały, że pan Grzegorz most przeszedłszy ku niej się zbliżał, że stanął blisko niej, a w końcu zachwycony ładną dziewczyną i dogodną porą, przystąpił z boku, uchwycił w pół i zaczął ściskać i całować. Był pewnym, że dziéwka chamska za największe sobie szczęście poczyta, że ją dworzanin księżny raczy przycisnąć do łona, w którém nierównie czyściejsza i szlachetniejsza krew bije.

Jagusia przelękniona krzyknęła. Matka wybiegła, a widząc nieproszonego kawalera, napastującego córkę, pchnęła go dłonią w ramie aż mało z dziewczyną nie upadł. Tak go to oburzyło, że się odwrócił, i uderzył ją w twarz aż się zatoczyła, upadła i krew ją zalała.

Na krzyk kobiecy wypadł młynarz, i widząc żonę skrwawioną na ziemi i pana Grzegorza — domyślił się prawdy: A nie pójdziesz ty najduchu psiawiaro, zawołał i skoczył ku niemu. Lecz Grzesio przewidział zapęd, odskoczył w bok i kosturem go w twarz ugodził. Młynarz się chwycił za oczy oburącz, a on się roześmiał głośno lecz krótko, tejże bowiem chwili zadudniało za nim, a wprzód niż się spodział, kańczug Bartłomieja serdecznie go zaczął lizać, nie wybierając, czy łeb czy nie łeb. Chciał się stawić, lecz tamten natarł koniem, mało nie stratował i prał aż ognia dawało.

Opędził go w koło młyna aż na most. Tam psy konia spłoszyły, gromadą wypadłszy z stodoły bresząc i szarpiąc cynamonowy kontusz winowajcy. Tak podszczutej psiarni młyńskiej się oganiając siekierką, musiał pan Grzegorz dworzanin księżny rzeszowskiej rozpocząć odwrot niesławny, bez czapki, w kusym kontuszu i z guzami po ciele. Ledwie o stajanie odczepiły się go sobaki, i zaczął się płaczliwie odgrażać na Murskiego kolibyka i chama młynarza. Co odszedł kilka kroków, to stawał złorzecząc i grożąc pięściami zakrwawionemi.

I byłoby tego bez końca, ale Marciś nadjechał. Jeszcze na przedmieściu mówili mu mieszczanie co się z Bartłomiejem żegnali, że kańczuk jego miał oskomę na plecy Grzesia a słysząc go lamentującego i widząc kuso, ochłonął poczęści z zemsty za brata, lecz nie całkiem, bo przybliżywszy się doń zawołał: Grzesio! co ci to? niechce cię Jagusia kochać? no cyt synu cyt! nie płacz, obmyj się i idź spać to się zagoi; bo to tylko zwierzchu a tu masz za mego brata i liznął go kańczukiem, ale raz tylko, bo mu się go żal zrobiło. Grzesio począł mu także złorzeczyć jak tylko mógł najobelżywiej, ale Marciś się nie pastwił dalej nad nim, tylko go zrobił uważnym, że jest w jego mocy a dodawszy: nie godzieneś psubracie, żebym na ciebie więcej moją rękę podniosł, przyjdzie tobie na koniec zjesz djabła — zaciął konia i popędził do młyna.

We młynie zastał wszystkich w wielkim żalu i zmartwieniu. Młynarka siedziała na malowanej kolbuszowskiej skrzyni o czterech kółkach, i szlochając zawiązywała sobie haftem ozdobną chustkę na głowie. Uderzenie bowiem Grzesia w nie-

ład ją wprawiło. Cienka koszula i gorset, były krwią zbroczone.

Młynarz stał oparty o komin, przykładając na twarz mokrą chustkę; a Jagusia na ławeczce pod piecem rzewnie płacząc, opowiadała Bartłomiejowi obok siedzącemu bliższe szczegóły napaści niespodzianej.

»Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus«, rzekł wchodząc Marciś, zdjął czapkę z głowy i zmaczał rękę w święconej wodzie. »Na wieki» odrzekli razem przytomni.

No! przecieżeś przyłazł, zagadał go Bartłomiej, myślałem, że cię się już niedoczekam. Nie ma nic złego, coby na dobre nie wyszło, odpowiedział Marcin; gdyby nie moje opóźnienie, kto wie co by tu Grzesio był narobił.

Alboż to mało nieszczęścia na nas przez niego; patrzcie no, jak nas pokrzywdził i pokrwawił, zapłakała głośno młynarka, i przeszła w zwykłe ludowi naszemu przekleństwa, kończące każden żal: a żeby go Pan Bóg ciężko skarał za naszą krzywdę, a bodajby nogę złamał, bodaj kark skręcił, żeby go palarusz poruszył tego pogańskiego syna!!

Ale bo żeby my mu choć w czém zawinili, zaczął młynarz, żeby jedno marne słowo od nas kiedy usłyszał. Zawsze mu z drogi zejdę, ile razy go zdybię, zawsze czapki uchylę. »Niech będzie pochwalony» jak Bóg przykazał i święty obyczaj — a za to ci napaść taka, gotówby człeka zdrowia pozbawić w własnym domu.

Takie skargi wywodzili niewinnie pokrzywdzeni Wawrzyniec Ludera młynarz miasta Rzeszowa, i Wawrzyńcowa Luderzyna żona jego, a Marciś zdziwiony stał i słuchał, i mało że nie żałował miłosierdzia swego.

Bartłomiej zaś siedział sobie przy swojej Jagusi a Jagusia przy nim, patrzyli na siebie i gadali do siebie, ot zwykle jak młodzi ludzie niższego stanu, którzy się kochają, jawnie wobec rodziców i świata, uczciwie i bez wszelkich wymysłów.

Już to że się kochali, wiedział świat i wiedzieli oni oboje mimo tego, że ani sami sobie ani ludziom tego nie mówili. Czuli do siebie wzajemny pociąg, jedno za drugiém tęskniło i oglądało się, a ludzie wróżyli z ich stosunków i charekterów, że z nich będzie dobrana para.

I dziwić że się tu, że młody zalotnik serdecznie okładał Grzesia, któren mu jego Jagusię smiał napastować i całować, a jej rodziców bić i poniewierać, a wara mu od tego.

Wypłakawszy się do woli poszła młynarka i przyniosła glinianą bańkę białopolewaną pełną słodkiego miodu kopowcu; masła, séra, gomułek suszonych z miętą pieprzową i kminem, oraz potężny ślicznie wypieczony gospodarski chléb razowy, jakiém może Piast dwunastu Wojewodów uraczał.

Po zwykłych zaprosinach, napili się miodu zakąsili czém Bóg dał, i zapomniawszy na chwilę o swoim żalu, gadali o innych przedmiotach między innemi o podróży Bartłomieja i Marcisia. Bartłomiej niechcący wyjawiać powodów podróży, a zdrugiej strony nie biegły w kłamaniu rzekł krótko, że jadą do Jaćmierza. Często tam rzeźnicy za bydłem jeździli, sądził zatem że się tak zwykłą odpowiedzią zbędzie. Ale gdzie tam!

Dla Boga! zawołała bowiem młynarka, ludzie gadają że tam są konfederoki, żeby wam co złego niezrobili, a Jagusia wpatrzyła się w niego i oczy jej łzami zaszły.

Gdzieby oni nam co złego zrobili, alboż oni to Moskale, oni tak ludzie jak i my, oni tylko Moskali biją i plon odbierają, odparł zagadniony.

Ej gdzietam; mówiła dalej młynarka, pozawczoraj był tu dziad z Babicy od mojego brata, i opowiadał nam, jak konfederacy w Korczynie z blichów 800. sztuk płótna zabrali a przecie tam Moskale płócien nie blichują a prócz tego ani prosię ani kura, gęś ani chléb, bót nawet byle cały przed nimi się nie ostoi.

Na co tam konfederaków, rzekł wzdychając młynarz, kiedy lada najduch dworski, lada pachołek, byle na zamkowym chlebie, może cię skrzywdzić i pokaléczyć. A komuż się użalisz? Bóg wysoko król daleko!; chyba ta cudowna matka boska bernadyńska, i syn jej zbawiciel, któremu niechaj będzie chwała wiekóisto chyba ona człowieka pocieszy i pomści. Rozpłakał się, a za chwilę ciągnął rzecz dalej. —

Oni was tam gotowi namówić do siebie, będziecie się bili za nich, możecie i głową nałożyć, a oni ani wspomną o tém; bo oni myślą że biednego prostaka można i spogardzić i zbić i skrzywdzić i dziecko zsromocić a nawet mu się skarzyć nie wolno. A niech im Pan Bóg niepamięta ludzkiej krzywdy. — ! ! —

Z scisnioném sercem słuchał Bartłomiej tych skarg młynarza, a każde słowo brzemieniem na przekonanie jego padało. Czuł w duszy, że młynarza skargi są słuszne, bo mają podstawę w prawach i zwyczajach. Lecz zdrugiej strony czuł że te prawa mogą się kiedy zmienić, że zwyczaje i nadużycia mogą ustać, czuł to jak dziecko co starość i śmierć pożną przeczuwa; ale bał się wymówić i nawet by nie umiał słów do tego czucia dobrać.

Jemu się zdawało że on nie ludzi kocha, że on ziemię swoją kocha i te miasta z kościołami i tę matkę boską cudowną i tego orła białego na czerwonej chorągwi którą krolewscy ułani przed sobą wozili i której widokiem on się nigdy nasycić nie mógł. Okropnością było dla niego myslеć że ludzie może w samej rzeczy są złymi; nie mógł tego przypuścić, boć go uczono że ludzi Bóg stworzył na swoje podobieństwo.

Dręczony tak przykremi uczuciami, postanowił nie tłumacząc się iść za głosem wewnętrznym za przedsięwzięciem raz powziętém, dla tego jak mógł najpredzej pożegnał się, zrobił krzyż święconą wodą i wyszedł. Jagusię zapła-

kaną, która go z matką wyprowadziła, scisnął za rękę, siadł na krasego i pojechał.

Młynarce która go bardzo lubiła coś się po jego odjeździe bardzo ciężko na sercu zrobiło; rozpłakała się serdecznie i całując także płaczącą córkę stały długą chwilę na dworze i patrzyły za odjeżdżającymi.

(Ponieważ powieść niniejsza, »Pobitna,« wyjdzie wkrótce osobno w całej zupełności drukiem, więc w przyszłym kwartale już tejże dalej ciągnąć nie będziemy.)

Nadesłane.

Artykuł umieszczony w piśmie pańskiém z d. 16. Marca r. b. pod napisem „o naszych zakładach publicznych, mianowicie o instytucie Imienia Ossolinskich" zawiera zarzuty, których jako urzędnik zakładu Ossolinskich, od jedynastu lat w nim pracujący milczeniem pominąć niepowinienem, bo pomijając czynione mi osobiste zarzuty obok jakiejś dwuznacznej pochwały, twierdzenia szanownego korrespondenta, dowodzące nieznajomość rzeczy obok wielkiej zarozumiałości, mogłyby śmiałością z jaką są wypowiedziane, uwieść niejednego z czytających, osobliwie w sprawie bibliotek, o których zadaniu i urządzeniu nie tylko u nas, ale i u narodów więcej tym przedmiotem zajmujących się, wiadomości nie są tak upowszechnione, jak sobie tego bibliotekarze słusznie życzą. Przyczyna tego jednak jest jasna; liczba bibliotek publicznych bowiem w stosunku do ogółu zawsze jest jeszcze nadto mała, sprawy też biblioteczne są tak różne od innych naukowych zatrudnień, wymagają tak wyłącznego zajęcia się, iż nic dziwnego, że zwykłe wyobrażenia o pracach bibliotecznych wcale nie są ani jasne, ani prawdziwe. Tém więcej zastanowienia się i obznajomienia możnaby żądać od każdego, kto się w sprawie jakiej biblioteki publicznie odzywa. Niestety doświadczenie uczy przeciwnie. W najnowszych czasach słynny bibliotekarz Libri we Francyi, a zeszłego roku biblioteki publiczne w Anglji, znalazły swoich krytyków i oskarżycieli, a Europa przekonała się, że zawiść osobista była powodem, do robionych im zarzutów. Cóż dziwnego, że i zakład Ossolinskich, którego zarządcy z wymienionymi uczonymi nie mogą iść w porównanie, ulegli temuż samemu losowi? wszakżeż zarzuca p. J. J. Zakładowi Ossolińskich„ omdlałość w której zakład ten wiecznym snem ujęty spoczywa„; "zajmowanie się dyrekcyi drobiazgowością; zmarnotrawienie długiego lat szeregu bez najmniejszej korzyści dla ogółu"; „butwienie nieprzebranych skarbów do historji literatury i starożytności narodowych"; zaiste zarzuty niemałe, gdyby były prawdziwe. Pozwolą czytelnicy przedstawiać sobie stan Zakładu i czynność dyrekcyi, a osądzą sami, o ile zarzuty te są uzasadnione. Zakład Ossolińskich posiada rzeczywiście skarby nieprzebrane, zawierające głównie księgozbiór, obecnie 64000. tomów liczący, zbiór rękopism z 600. tomów złożony, zbiór rycin i rysunków ręcznych przeszło czterotysięczny, map 261., medalów i monet przeszło 15.000, słusznie zatem p. J. J. nazwał skarby naukowe Zakładu nieprzebranemi.

Ale cóż z tego wynika? niewątpliwie to, że skarby te powinny być należycie uporządkowane i dla publiczności przystępne; uporządkowane, bo to jest warunek konieczny, który, gdy zostanie niedopełnionym, użytek dla publiczności staje się niemożliwym. Najważniejszą też częścią skarbów naukowych zakładu jest niewątpliwie księgozbiór, którego uporządkowanie dyrekcyi, do której od r. 1839. mam honor należyć, dziesięć lat z pełna zabrało. Nie jest tu miejsce wykładać zasady porządku bibliotecznego, ani rozwodzić się nad trudami w porządkowaniu podejmowanemi; przedmiot ten jest tak wyłączny, tyleby czasu do jego wyłożenia potrzeba, że niemoże być tu dokładnie rozebranym. Szczęściem literatura nasza posiada dzieło w tym przedmiocie dokładne, dzieło naszego uczonego Lelewela pod tytułem »bibliograficznych ksiąg dwoje« do którego czytelników odesłać możemy, przekonani, że powadze uczonego bibliotekarza, a zatem obznajomionego dokładnie z przedmiotem zaufają. Z tego też dzieła przytoczę w ciągu odpowiedzi to, co posłuży do wyjaśnienia prawdy, o którą mi jedynie idzie. Z rzeczonego dzieła i p. J. J. byłby się mógł przekonać, że uporządkowanie księkozbioru nie jest, ani rzeczą jednego roku, ani też można robotę tę pierwszemu pisać umiejącemu powierzyć, ani też jest rzeczą drobiazgową, za jaką ją p. J. J. uważać zdaje się, że zatém, dyrekcja w razie dokładnego wykonania roboty w uporządkowaniu księgozbioru, wypełniła tylko pierwszy swój obowiązek i niezmarnowała długiego lat szeregu bez najmniejszej korzyści dla ogółu. Że do uporządkowania biblioteki trzeba długiego lat szeregu, przekonałby się był p. J. J. z dzieła Lewela, który przytoczył przykład w bibliotece getyngskiej, do której uporządkowania, a właściwie spisania katalogu alfabetycznego tylko, biblioteki w ówczas mało od naszej liczniejszej, mężowie uczeni, których nazwiska Lelewel umyślnie wymienia, dziesięć lat zupełnych potrzebowali. Biblioteka Ossolinskich zaś od r. 1839. nietylko otrzymała katalog alfabetyczny, ale prócz tego że przeniesioną i ustawioną została w nowo na to urządzonej sali, otrzymała dokładny Inwentarz całego księgozbioru, jakiego niema żadna ze znanych mi publicznych bibliotek, a który daje jedyną pewną podstawę stanu księgozbioru. Chociaż więc nasz Lelewel uznał pracę tę jako potrzebną i uważa ją jako zadanie godne życia całego, cóż to w oczach naszych jeniuszów? Przesada zapewne ze strony uczonego Lelewela, drobiazgowość ze strony, dyrekcyi idącej za jego zdaniem. Ja śmiem odpowiedzieć: że wyrok p. J. J. jest lekkomyślnością dowodzącą tylko zarozumiałego nie-

uctwa. Nie mówię już o spisach innych zbiorów, jak medalów i monet w części, a rycin i map zupełnie spisanych, co zapewne równie niepotrzebną i nieużyteczną dla ogółu było robotą, jak spisywanie i uporządkowanie księgozbioru.

Gdyby jednak zbiory zakładu były dla ogółu nieprzystępne, uporządkowanie ich niewątpliwie niemiałoby celu. Ale rzecz się tak nie miała i nie ma co do zbiorów zakładu Ossolinskich, które wciągu budowy i urządzenia sali bibliotecznej, w ciągu spisywania ksiąg nawet, były przystępne publiczności, o ile tego dozwalały okoliczności i rząd przedmarcowy, który niedozwalał otworzyć czytelnię bez poprzedniego cenzurowania biblioteki. Nikt jednak szukający rzeczewiście duchowego zasiłku w bibliotece nie odszedł i przed rokiem 1848. niezadowolony z zakładu. W roku 1848. otworzoną została zaraz po zniesieniu cenzury publiczna czytelnia, a jeśli od czasu zaprowadzenia stanu wyjątkowego we Lwowie, dyrekcja widziała się spowodowaną zamknąć czytelnię, nieczyniła tego bez powodów ważnych, mianowicie nie dla swojej wygody, kiedy od czasu tego pożycza tém więcej książek czytającym do domu. Nie butwieją zatém skarby biblioteczne bo są tacy, którzy z nich korzystają, których jednak p. J. J. do ogółu nie zdaje się liczyć, ale raczej tych, którzy zakład Jm: Ossolinskich z imienia tylko znają, dla których zatém bardzo naturalnie żadna książka z pułek nieruszyła się w bibliotece, która zatém w takim razie rzeczywiście zbutwiéćby mogła. Mógłbym śmiało powołać się na świadectwo licznie uczęszczających do biblioteki, niechcąc ich jednak trudzić, proszę raczej tych, którzyby niezadowoleni w swoich żądaniach z zakładu odeszli wystąpić, a ja przyjmuję wszelką w tym względzie na mnie odpowiedzialność, bom silny przekonaniem, że znałem i pełniłem obowiązki, które wypełniać podjąłem się, a uporządkowanie i oddanie biblioteki dla użytku publiczności uważam za pierwszy obowiązek dyrekcji.

Co do zbioru rękopism, których dokładne opisanie nierównie więcej jeszcze trudu i czasu wymaga, korzyść z nich dla publiczności była zawsze możliwą, z zastrzeżeniami w tym względzie potrzebnemi. Skarby w rękopismach zakładu są zapewne wielkie, ale oprócz wydanych już drukiem, ani z dzieł pośmiertnych Ossolinskiego, ani z dawniejszych zakład nieposiada takich, któreby same, bez porównania i zestawienia z innemi źródłami historji i literatury polskiej, po całej Europie rozrzuconemi, mogły być wydane. Jest to po większej części materjał zanadto surowy, rozerwany i ułamkowy, aby jakąkolwiek sam dla siebie całość przedstawiał, a wydanie jego w tej postaci niewytrzymałoby krytyki dzisiejszej. Lecz dosyć tej polemiki, którą zapewnie znudziliśmy już i tak czytelników, których prosimy tu o uwzględnienie, iż niemogliśmy w obec zarzutów z osobistych pobudek wynikłych, a zakładowi szkodzić mogących, milczeć dla dobra ogółu, któremu losy zakładu nie są obojętne. Co do mojej osoby w szczególności, tyle tylko dodam, że dwuznacznych pochwał p. J. J. »jakiejś ruchliwości i pewnego dążenia» nieprzyjmuję, bo ruch mój i dążność moja mają cel stały, a tym był i będzie prawda i dobro moich współziomków. Mając nadzieję, że zechcesz szanowny Redaktorze być tyle bezstronnym, iż w swém piśmie niniejszą odpowiedź moją podasz do publicznej wiadomości — Zostaję,

Z winnym poważaniem

Jan Szlachtowski,

Wiadomości literackie.

Od pierwszych dni kwietnia zacznie *w Krakowie* wychodzić pod redakcją Jana Bętkowskiego pismo obyczajowo naukowe pod nazwą: **PRZEWODNIK** *które w jasnym i popularnym wykładzie obejmie:*

1. Treściwe rozprawy, powiastki, obrazy i myśli dotyczące człowieka pod względem jego moralnej zacności.
2. Historoczne i jeograficzne wiadomości, wywodzące posłannictwo i postępowy rozwój człowieczeństwa.
3. Co pożyteczne, nowe i zajmujące w obszarze nieba i ziemi, co przemysł i gospodarcza zabiegliwość pracę człowieka podnieść i celom jego usłużyć może.
4. Życiorysy ludzi cnotliwych, obrazy piekne wiérszem i prozą, i wszystko, co zmysł estetyczny i świadomość własnej obudza godności.
5. Wiadomość o nowych a dobrych książkach, zachęta do ich czytania.

W Paryżu będzie wychodzić pismo pod nazwą *Ludomir* w języku czeskim, polskim, rosyjskim i południowo-słowiańskim, którego celem jest okazać drogi któremi słowiańskie narody mają dojść do celu całego człowieczeństwa do pojednania, sojuszu i szczęścia wszystkich członków plemienia słowiańskiego.

Będzie to pismo wychodzić w zeszytach trzyarkuszowych, każdy w cenie 1 franka. Sześć zeszytów będzie stanowić tom.

We wszystkich narzeczach użyte będą czcionki łacińskie Wszelkie odezwy należy adresować *à l' Editeur* du Ludomir, à Paris, rne Hautefeuille, 16. —

W Kwietniu zaczyna się nowy kwartał pisma wychodzącego pod redakcyą p. *J. Goczałkowskiej* pod nazwą *Wianki* Pismo to będzie obejmować jak dotąd artykuły stosowne dla młodzieży żeńskiej *moralnej treści*, rys piśmiennictwa polskiego aż do dzisiejszych czasów — powieści — poezje — kronikę miejscową - wreszcie o robotach ręcznych i strojach, z dodaniem najświeższej zawsze ryciny mód i arkusza haftów. A gdy pismo to jedyne u nas w podobnym rodzaju ma przyrzeczoną pomoc od pisarek i pisarzy prowincji naszej, więc cieszymy się nadzieją, że i nadal znajdzie udział w szan. Publiczności.

Cena kwartalna wynosi na prowincji wraz z przesyłką 2 złr. 30 kr. we Lwowie zaś 2 złr. m. k.

Wydawca: ***Karol Wild.*** Redaktor: ***Karol Widmann.***

Drukiem prassy pospiesznej A. B. Winiarza we Lwowie, przy ulicy krakowskiej pod l. 77.